



NASZA PRACA

DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY SZKOLNEJ POW.
TOMASZOWSKIEGO WYD. PRZEZ UCZNIÓW I UCZENNICE
PAŃSTW. GIMNAZJUM IM. BARTOSZA GŁOWACKIEGO.

Nr 3 (68)

W Tomaszowie Lubelskim, 1-go października 1924 r.

Rocznik IV

BRATNIA POMOC.

Na ostatniem zebraniu Zarządu Bratniej Pomocy uchwalono zwołać doroczne Walne zebranie członków. Aby zebranie to niespodziewanie nie zaskoczyło członków i aby członkowie Br. Pom. mogli przyjść z gotowymi planami co do dalszego prowadzenia Bratniej Pomocy, pozwólcie mi Szanowni Czytelnicy parę słów o tem napisać.

Jako ustępujący członek Zarządu, który z górą trzy lata pracował w Zarządzie, mogłem zauważyć pewne braki naszej organizacji. Braki te są czasami winą Zarządu, czasem zaś niesprzyjających warunków. Przeważnie jednak są one z winy członków. Dlaczego?

Pełniąc dość długo ofiarowane mi zaszczytne stanowisko w Zarządzie, miałem sposobność wiele rzeczy zaobserwować. I tak do cech ujemnych członków zaliczę: 1) brak wytrwałości, 2) lekceważenie pracy spo-

łecznej i 3) zadaleko idąca oszczędność, gdy idzie o sprawę społeczną. O te trzy czynniki rozbiły się bardzo często usiłowania Zarządu.

Nie wiem czemu należy to przypisać, czy psychice młodzieńczej, która ciągle dąży do coraz to nowych wrażeń, zacierających powoli stare, czy obojętności kilkunastu ewentualnie kilkudziesięciu członków, która powoli udziela się całej organizacji. Co zaś do oszczędności, to chyba zbyt jaskrawo staje Wam przed oczyma ostatnie Walne zebranie, na którym kwestja stałych składek była powodem żywej dyskusji. O tę samą sprawę rozbiła się uchwalenie statutu, którego zmiana w projekcie była podana pod rozważenie Ogólnego Zebrania Zarządu.

A więc brak konkretnego statutu i dawnego zapału wśród członków jest największą bolączką Bratniej Pomocy. Obecnie klasa ósma usuwa z siebie ten ciężar pracy, z chęcią niesiony przez tyle lat. Składa go na Wasze barki. Może teraz, biorąc czynny udział w tej pracy, przy której dotychczas skupiały się tylko jednostki klas wyższych, ożywiecie działalność Bratniej Pomocy.

W tem miejscu nie mam na myśli jedynie członków Zarządu. Tu idzie o ogół, nie zaś o jednostki, gdyż Zarząd zawsze musi się liczyć z duchem ogółu. Bo i jakież da wynik impreza, podjęta przez Zarząd, a niewykonana przez członków? Inna rzecz, że wybierając Zarząd, należy wielki nacisk kłaść na charakter wybieranych osobników.

Wysuwa się jeszcze niemniej ważna kwestja. A mianowicie: której klasie należałoby oddać ster tej pracy społecznej? Zapewne wszyscy będą mieli jedną odpowiedź: „klasie następnej“. Ale zastanówmy się, co należy zrobić z innemi klasami? Czy pozostawić je na łaskę szerzącej się obojętności? Czy też należy im dać możliwość poznania wartości tej pracy społecznej?

Otóż jest to najważniejsza sprawa, nad którą najbardziej należałoby się nam zastanowić. Nie stawiam tu żadnych wniosków, bo na to będzie czas na Walnym Zebraniu, nie wątpię jednak, że wszyscy członkowie zjawią się na to zebranie z pewnemi pomysłami, z ochotą do pracy i z wiarą w świetlaną przyszłość naszej organizacji, w której po nas odziedziczą kierownictwo świeże siły.

St. Floryan

Wakacje szkolne, jako czynnik dodatni w rozwoju ucznia.

I

Młody człowiek podlega bardzo łatwo wszelkim wpływom i choć widzi, że te wpływy są wielokroć złe, to jednak z biegiem czasu przyzwyczajają się do nich, zapominając, że może to wpłynąć zgubnie na rozwój jego charakteru. W ciągu roku przyzwaja sobie uczeń wiele ujemnych nawyków i gdyby nie wakacje, przywary te pozostałyby w jego charakterze.

Tymczasem wakacje odrywają młodzieńca od dotychczasowego otoczenia, otwierają przed nim horyzonty innych nowych zapatrywań, uczuć i poglądów. Będąc oddalonym od otoczenia, w którym większą część życia się przeżywa, łatwiej jest rozsegregować wpływy, po to, aby po wakacjach stanowczo odrzucić złe, a przyjąć dobre.

Wakacje są jakby dorocznym rachunkiem sumienia. Uczeń patrzy na ubiegły rok, oblicza wysiłki i najczęściej ukazuje się rumieniec wstydu na jego twarzy. Ambicja mówi mu, że powinien być znacznie więcej zdziałać; wtedy zaczyna marzyć o tej radości w poczuciu sumiennego spełnienia obowiązków i zapisuje na listę swych postanowień nowe: wytrwałą pilność.

Przepędzając wakacje na wsi, nietrudno jest o samotność na łonie natury. Wówczas młodzieniec odczuwa dziwną tęsknotę do piękna i szlachetności. Nieraz takie chwile samotności są przełomem w młodym życiu, stanowią o jego wartości moralnej.

Odpoczynek wakacyjny wymacnia ciało, wskazuje duszy bardziej świetlane cele, daje siłę do ich osiągnięcia.

J. Witkowski

II

Czem są wakacje dla ucznia i jaki wpływ wywierają pod względem moralnym i fizycznym? Jest to pytanie, które nie

może być roztrząśniętem w znaczeniu ogólnem i rozważonem wyłącznie teoretycznie. Musimy wziąć przykład, bądź to z samego siebie, bądź to z obserwacji kolegi. Ażeby zdanie nasze było miarodajnem, musimy wziąć postać typową, charakteryzującą większą część młodzieży. Określając wpływ wakacyj na ucznia i rozwiązując związane z nim zagadnienia, będziemy się starali brać pod uwagę wraz z postacią typową inne zjawiska, lepiej tłumaczące poszczególne objawy w uczniu po lub podczas wakacji.

W przedstawieniu samych dodatnich wpływów uwzględnimy czynniki, płynące z charakteru samego ucznia, gdyż te mają wielkie znaczenie.

Dodatnie wpływy wakacyj zależą przedewszystkiem od charakteru samego ucznia i od środowiska, w którym przebywa. Wpływy te możemy podzielić na moralne (oddziałujące na charakter, duszę i etykę) i fizyczne na ciało.

Które są ważniejsze? Zdaje mi się, że te drugie, gdyż o pierwsze i trudniej dla większości uczniów i są w czasie wywcześnie dla ciała czynnikiem, jeżeli nie podrzędnym, to drugorzędnym.

Uczniowi, siedzącemu w ławie przez cały rok szkolny, wpaja się bez przerwy te zasady (moralne). W czasie wakacji zupełnie będzie dostatecznem, jeżeli zasady te choć w połowie zastosuje. Uczniowie przemądrzali w czasie wakacji potrafią znaleźć bądź w książkach (w których ustawicznie grzebią, bądź w zbyt mądrych rozmowach ze starszymi (często pachnącemi nienaturalną filozofją i wymuszeniem) cały szereg według ich zdania czynników dodatnich.

Rozum się rozwija, lecz ciało marnieje. Wakacje zamiast wzmocnić, osłabiają. Stwierdzić trzeba, że do tego gatunku należą uczniowie, których natura upośledziła pod względem fizycznym.

Jak wspomniałem, wpływ wakacyj na ucznia zależy od środowiska, w jakim uczeń się obraca. Jest to zupełnie zrozumiałem i bliższych komentarzy nie wymaga. Środowisko zdrowe moralnie i fizycznie wpływa dodatnio. Ale jak, czy przy pewnym wysiłku ze strony ucznia, czy też nawet na biernie się zachowującego? Powiedziałbym, że uczeń, który przez wakacje nie poniósł szkody po względem moralnym, dużo zyskał i wakacje wpłynęły na niego dodatnio. Nie powiedziałbym jednak tego o czynnikach fizycznych, które powinny do tego stopnia wpłynąć, żeby uczeń wprost zmienił swój wygląd, naturalnie na korzyść.

Najczęściej tak się dzieje i to jest dodatnia strona wakacji. Wspomnę, w jaki sposób to się osiąga: przez pracę fizyczną na powietrzu, pracę niewyczerpującą.

Podstawą tej korzyści jest wypoczynek umysłu. Wakacje dają nadto często możliwość poznania kraju przez wycieczki, co w chwili obecnej daje się zauważyć. Taki ruch wycieczkowy poza wartością kształcącą wyrabia w uczniu samodzielność i zdrowie. Uczeń, który w ten sposób spędza wakacje może być pewnym dodatnich wyników. Mylnieby twierdził ten, kto by sądził, że zdrowie nie wpływa na charakter. Stosowanie się do higienicznych przepisów w znaczeniu najszerszym wymaga nieraz wysiłku woli. A czyż wysiłek woli to nie kształtowanie charakteru?

Widzimy, że wakacje szkolne powinny być brane pod uwagę jako czynnik dodatni w większej mierze pod względem fizycznym i jako takie traktowane. Wakacje, które mają umoralnić albo nauczyć, w praktyce robią wrażenie czegoś anormalnego, a przynajmniej zboczonego. Żeby były czynnikiem dodatnim, muszą być przystosowane (trybem życia) do charakteru.

Z góry przyjętych przepisów i form (jak się praktykuje w zakładach szkolnych) narzucać nie można, gdyż te krępują indywidualność i robią coś, co nie może być nazwane człowiekiem, gdyż nie ma swej woli ani nawet myśli (co tu mówić o własnych przekonaniach). Wakacje traktowane jako fizyczny odpoczynek, jako wolność zajęcia (tyczy się starszych uczniów) mogą wpłynąć tylko dodatnio.

Stanisław Paszkiewicz

Z Szwajcarii Kaszubskiej.

(Wspomnienie z wycieczki obozu letniego w Oksywju).

Zaszumiały cicho przydrożne drzewa, pochyliły konary swe i zamarły, zachwycone ujmującym wzrok widokiem karnej garstki, zdążającej gęsiego krokiem miarowym od strony Kartuz. Wyglądali wspaniale, dźwigając na plecach swój cały dobytek. W zielone mundurki przystrojeni, świecąc gołemi kolankami oraz wychylając ciekawie z pod daszków czapek buziaki ogorzałe, zlecieli harcerze, nikiel sokoły, by stopy swe postawić na brzegach jezior kaszubskich, wzrok popieścić pięknem krajobrazu i zanieść wrażeń moc do chat rodzinnych. Boć Szwajcarka Kaszubska, to kraj uroczy, pełen niespodzianek dla oka turysty, to zakątek malowniczo rozrzuconych jezior, wiosek i pagórków, to siedziba ludu spokojnego, gospodarnego, ludu dobrego i jak rzadko który gościnnego.

W taką to połąć kraju naszego zagłębiają się harcerze, dążąc do Ostrzyc — wioski, rozłożonej nad brzegiem jeziora, naj-

piękniejszego chyba w całej „Szwajcarii“. Ich krok miarowy rozlega się echem wśród tysięcy drzew, rosnących gęsto po obu stronach drogi. Gęstwina zielona, miejscami jakby niewidzialną ręką rozsunięta, odsłania przed okiem żądnem pięknych widoków ciemne jezioro o brzegach porośniętych krzewami, lub wioskę, przytuloną do wzgórza, jak gniazdko jaskółcze, albo znowu—pole, mieniające się barwami zbóż, lub też—jeno wieżycę kościołka, górującego nad wioską, ukrytą w cieniu drzew. Tak uroczym, tak spokojnie odbywa się marsz...

Minęto parę wiosek, parę jezior, świecących w słońcu niby szyby, przesunięto się przez las, pełen (ach, jak smacznych) jagód, i wreszcie gromadka zbliża się do celu podróży. Słońce, napracowawszy się cały dzień, zmierza powoli na spoczynek, żegnając pola, lasy, przeglądając się zalotnie w srebrzystych, zadumanych wodach. Już jeno parę promieni wysyła, wreszcie i te cofa, kryjąc się za drzew gęstwiną. Zmrok, ogarniający całą ziemię, pozwala jeszcze z wierzchołka góry widzieć w dole rozciągnięte jezioro, wijące się między bodzącymi hardo niebo gotyckich kształtów świerkami i wysmukłymi sosenkami, wioskę, obejmującą jakby ramieniem senne już jezioro, za nią — rzekę, porozlewana w zatoki i jeziorka, zarośnięte trzciną, nad brzegiem rzeki—młyn, znaczący się omączonymi dachy na tle zieleni drzew rozłożystych, dalej zaś—czarną masę lasu, zamykającą widnokrąg. Na świecie było cicho i cudnie, jak w tym bożym kościele, tylko kiedy niekiedy wiaterek, przepełniony zapachami pól i lasów, zaciągał, przynosząc z sobą dalekie ryki krów, spędzanych z paszy, to znowu tęskne beki owiec i krótkie naszczekiwanie psów owczarskich.

Droga, staczając się ze wzgórza, prowadziła do wioski, odznaczającej się wśród drzew sadów czerwienią dachów i słupami dymów, wzbijających się ku niebu. Zmęczone już nogi pragnęły spoczynku zasłużonego, żołądek upominał się o swą należność, zresztą noc nadchodziła, przeto należało pomyśleć o noclegu jako tak wygodnym. Wysłani kwatermistrze, myszkując po wsi, znaleźli kwaterę iście królewską, bo u gburą bogatego na „górcę“, nad stajnią.

Być nad jeziorem tak pięknym, jak Ostrzyckie, widzieć łódki, wabiące ku sobie, a nie skorzystać z okazji i nie użyć przyjemności pływania byłoby, zdaniem gromadki, czemś wprost karygodnym, to też, wychodząc z takiego założenia, zapomniano o kolacji, porzucono plecaki przed „górką“ i rzucono się do łódek, by pizenierzyć całą szerokość jeziora, odwiedzić wysepkę

i, napracowawszy się uczciwie wiosłowaniem, wrócić wreszcie na brzeg. Boć żołądek nie sługa: nie wie, co to pany — powiada stare przysłowie. Ale że kolacja harcerska, ugotowana z iście rekordową szybkością, szybciej jeszcze została spożyta, przeto z pełnemi żołądkami, w humorze wyśmienitym wróciliśmy do łodzi. Płaskie, długie czołna, pchnięte silnie młodemi rękoma, spłynęły cicho na wodę i poniosły w dal, hen, ku szarzejącym brzegom przeciwnym. Cicha lipcowa noc, rozjarzona gwiazdami, rozciągnęła panowanie nad światem, pobudzając urokiem swym do marzeń, czułych wyznań i słodkiej zadumy. Wesoła gromadka, wypłynawszy na środek, jak gdyby czarodziejską laską dotknięta, pod wpływem kojącej ciszy wieczornej, ucichła, zadumała się. Łodzie, złączone, jak dwie siostrzyce, sunęły cichutko po czarnej powierzchni jeziora, zdradzając obecność swą ledwie dosłyszalnym pluskiem wioseł, opuszczanych miarowo w toń wodną. Tak cicho, tak spokojnie na świecie, jeno od wsi od czasu do czasu wiaterek lekki przyniesie jakiś głos niewyraźny. Nagle buchnęła w niebiosa pieśń pełna tęsknoty i smętku i popłynęła w dal, kołysząc się nad jeziorem. Harcerze śpiewają, pragnąc wypowiedzieć uczucia swe jakieś dziwne, nieznane. Za pierwszą pieśnią wnet rozlega się druga, po niej cały szereg znanych piosnek—wszystkie jakoś pełne nut marzycielskich, wyrażające dziwnie smutny nastrój duszy. To jezioro podziało na bracie harcerską, kazało odżyć w duszy wspomnieniom, wzbudziło tęsknotę do chat rodzinnych, pól barwnych, osób drogich. A pieśń płynie i płynie, przenosząc się hen daleko, aż w strony rodzinne. „Hej, sokoły...” tęsknie rozlega się w ciszy nocnej, a za nią „Góral” z jego smutkiem za krajem opuszczonym. Dziwnie, dziwnie czuje się dusza harcerska... Ale czas do snu, do spoczynku, by nazajutrz mieć siły na dalszą włóczęgę.

Łodzie przyległy do brzegu jakoś sennie, jak gdyby żal im było porzucać to jezioro, pełne zadumy miłej, harcerze wysiedli i wzrokiem zegnali tę toń gładką, w której gwiazdy przeglądały się, migocąc wabiąco. A mgły, poruszywszy się z legowisk, siwą przedzą osnuwały świat niby dywanami i zakrywały całe jezioro. Z mgieł zaś wychyliły się jakieś postaci, tworząc korowód, wciąż chwiejny, i oczy ujrzały nagle cały tłum powiewnych istot, ujrzały cały świat bajek, słyszanych niegdyś w dzieciństwie, kiedy to starcze usta szeptały nad usypiającem w kolebce dziecięciem opowieści dziwne, przepełnione strachami, bohaterami, królowkami, rycerzami, dobrami wróżkami i złemi czarownicami. Wszystko żyło, poruszało się przed rozmarzonym okiem, to wyraźniej występując, to znowu rozwiewając się we mgle, aż wreszcie zni-

kło powoli i przed oczyma ukazało się jezioro, obramowane czarnymi zarysami lasów, w którym gwiazdy iskrzyły się, jak w zwierciadle.

Obudzony z marzeń harcerz ruszył krokiem powolnym na „górkę” i, zakopawszy się po czubek nosa w świeżym sianku, zasnął snem młodym, zdrowym i twardym jak stal. W dole zaś konie chrupały wesoło obrok, pobrzękując z cicha łańcuszkami i śmiejąc się z dum marzycielskich młodzieńca, wreszcie i one usnęły, opuściwszy lby kształtne. Wieś, jezioro, lasy i pola spały snem błogim, jeno gwiazdy mrugały wciąż, a w oddali turkotaj jednostajnie młyn, jakgdyby młócić kołysankę dla strudzonego dziennym marszem i wrażeniami harcerza.

Ale noc lipcowa krótko władała światem, ustępując miejsca porankowi świeżemu, spowinętemu mrokami, chłodnemu i cichemu. Z nad jeziora i rzeki podniosły się szare kożuchy mgieł, na wzgórzach blado zarysowały się konary drzew, podobne do czarnych dymów, na wschodzie zaś niebo przejaśniało luną nadchodzącego słońca, gwiazdy zbladły. Dzień przejmował władzę od nocy. Wieś jeszcze spała, ale już tu i ówdzie dało się słyszeć pianie kogutów, ryk bydła, otwieranie wrót, szczęk pompy, wreszcie odgłosy stały się częstsze i życie we wsi powstało, dzień pracy się zaczął, żmudny dzień rlnika. Wreszcie słońce wyniosło się z poza lasów, brzask czerwony zasypał świat, ptaki podniosły pieśń, chwalcą Wszechmogącego, jaskółki chyżemi loty uniosły się w przestworza, a od pól dlatywały potykiwania. Na „górkę” natomiast wszyscy, wyciągnięci w pozach malowniczych, spoczywali w objęciach snu, nie myśląc nawet o wstawaniu. Lecz słońce, budząc życie na ziemi, w wędrówce swej ciekawie zainteresowało na „górkę”, musnęło delikatnie promieniem twarzy śpiących, raz, drugi, aż zniedcierpliwione oświeciło całą gromadkę snem promieni, zaigrało na twarzach, natarczywie uderzyło w oczy i zmusiło do powstania. I dla harcerzy zaczął się dzień, zaczęła się dalsza wędrówka po tej tak uroczej krainie.

Słońce już było dość wysoko nad horyzontem, kiedy ze wsi wysunęła się gromadka. Wesoła rożnowa, wreszcie piosnka, zanecona z życiem i humorem świadczyły o dobrze wypoczętej nocy, twarze zaś opalone i tryskające zdrowiem mówiły o zadowoleniu z siebie i ze świata całego.

Jeżeli

O stosunku koleżeńskim.

Sprawa ta, aczkolwiek poruszona swego czasu w

artykule kol. St. Floryana, nie zmieniła się dzięki obojętności koleżanek i kolegów. W dyskusji, którą na ten temat rozpoczął swym artykułem kol. Floryan, nikt nie wziął udziału. Nie wiem, czemu należałoby to przypisać: czy milczącej zgodzie na wnioski, wysnute z artykułu, czy też chęci pozostawienia dawnego stanu rzeczy?

W każdym razie, jak wspomniałem wyżej, daje się wyczuć pewne zobojętnienie. W stosunkach koleżeńskich nic się nie zmieniło, a głos kol. Floryana pozostał bez echa głosem wołającego na pustyni. Stosunek ten pod niektórymi względami bardzo miły i serdeczny, staje się czasem wprost rażącym dla ludzi, patrzących na nas z boku.

Mam tu na myśli fakty, na które niejednokrotnie zwracano uwagę. Bezwzględnie bardzo jest przyjemnie być wołanym po imieniu albo wprost przez „ty”. Każdy z kolegów przyzna, że przykroby było, gdyby ktoś z grona profesorów inaczej się do nas odnosił, gdyż wtedy mielibyśmy wrażenie, że nasi wychowawcy nie odnoszą się do nas z sercem i, że dają nam odczuć całą odległość, jaka nas dzieli. Ale jest to praktykowane i miłe, że się tak wyrażę—z góry na dół. Zupełnie inaczej przedstawiałaby się sprawa, gdyby ktoś względem starszej osoby w ten sposób się odezwał, gdyż byłby nazwany conajmniej albo bardzo źle wychowanym, albo wprost półgłówkiem. A jednak, jakże często się słyszy, jak kolega z młodszej a nawet najmłodszej klasy odzywa się do starszego kolegi, którego nawet nie zna osobiście, „ty”. Co dziwniejsze, że gdy nawet starszy kolega mówi przez „kolego”, chcąc delikatnie zwrócić uwagę nieznającemu się na grzeczności koledze, słyszy w odpowiedzi bez żadnego zażenowania „ty”. Sytuacja w tym wypadku staje się komiczną ale i przykrą, świadkowie bowiem takiej sceny nie pochwlebnego napewno o nas nie pomyślą. Nie mówię już o różnicy wieku ani klasy, ale mówię o najprymitywniejszych formach wzajemnej grzeczności. Napewno ci młodszy koledzy, gdy

urosną i będą w starszych klasach, nie zechcą być tak traktowanymi, jak dziś traktują starszych. Taki młodszy kolega skądinąd bardzo miły, szafujący nie tylko tem braterskiem „ty“, ale i często dosyć bolesnemi epitetami względem starszych kolegów, staje się kimś, kogo się unika.

Nie będę się powoływał na historję naszych szkół, w których inne były stosunki. Nie będę przypominał niedawnych czasów szkół moskiewskich, gdzie na stacji uczeń starszej klasy, mając zwierzchność nad młodszymi kolegami, był nawet tytułowany „panem“. Nie myślę się na to powoływać, gdyż taki stosunek był śmiesznym i nie mającym sensu, ale chyba skromne „kolego“ lub „wy“ powinno Wam, koledzy, przemówić do sumienia i gustu.

Zresztą kwestja nie jest wyczerpana i dyskusja na tem się nie kończy. Zabierzcie głos i unormujcie starsi i młodszy koledzy te anormalne stosunki, do których zaliczyć należy również bardzo smutne wystawiające o nas świadectwo niekłanianie się na ulicy kolegów koleżankom.

St. Jaszkiewicz

Ó S E M K A.

Słońce wschodziło wielkie, czerwone. We mgłach sierpniowego poranka siedmiu cyklistów opuszczało Tomaszów.

Mknęli jak wicher szybko i cicho, jak duchy; dopiero gdy droga prowadziła pod górę, zwolnili nieco biegu, a Felek zagadnął: „Jeżeli Bolek jeszcze pojedzie, to będzie nas ośmiu, z ósmej klasy“. Dojeżdżali właśnie do Tarnawatki, gdzie miał na nich czekać ów Bolek, gotów do odjazdu. Z daleka już przed umówionem miejscem zaczęły funkcjonować wszystkie dzwonki, trąbki, gwizdki, aby zaalarmować oczekującego towarzysza. Wszyscy byli przekonani, że Bolek już siedzi na rowerze, że musi siedzieć, choćby nawet roweru nie miał... gdyż ta nieludzka dzika muzyka porwie go za nimi.

Ale niestety! Improvizowana orkiestra nie dokonała swego. Wypłoszyła wprawdzie wszystkie żyjące istoty w dziesięciokilometrowym promieniu, ale Bolka nie porwała za sobą, chociaż

miał cały rower. Cały! Bo cóż to szkodzi, że jedno kółko miał na szosie, a reszta roweru była w domu? Razem miał cały rower. Ale co tu dużo gadać? To, że Bolek nie dał się porwać za nimi choćby na jednym kółku, wstrzymało marsz o całą godzinę, ale kosztem tej godziny sfabrykowano śmiechu na całą podróż. Niech nikt nie myśli, że śmiano się z Bolka! Wcale nie — tylko z jego roweru. Sam Bolek wyglądał bardzo poważnie, najpoważniej! Rozparł się, jakby już conajmniej miał maturę w kieszeni i jechał. Rower zaś, czując, jak dumnego wiezie pana, — sam zhardział, rozszerzył się, jednym kółkiem jechał lewą, a drugim prawą stroną szosy, a przytem strasznie dzwonił, brzęczał, potracał wszystkie słupy telegraficzne... I nie można go było uspokoić, bo się zawział i nie ruszał z miejsca.

Wśród ogólnego rozentuzjazmowania nawet Bolek nie tracił fasonu i powtarzał, że na stalowym rumaku jedzie odwiedzać kolegów.

Właśnie zajechali do byłego kolegi, obecnie już kleryka z drugiego roku. Oszłomił go szumny wjazd, zapomniał języka w gębie, tylko wszystkich w kółko całował. Ze zgrozą myśleli cykliści, że na tem się skończy, ale przecież się opamiętał i wpuścił ich do sadu.

Co tam się działo, lepiej nie mówić. Dość, że w sadzie powstał silny wiatr, pootrzasał dużo owoców i gdzieś to wszystko zniknęło. Pożegnanie było również czułe, tylko każdy wciągał w siebie dech, żeby mniej raziły powypychane kieszenie.

Od kleryka Stasia pojechali do Jasia, od Jasia do kol. Kazi, następnie do drugiego Jasia i w końcu do trzeciego Jasia. A wszędzie kazali im jeść, ku niezadowoleniu rowerów.

Droga stawała się uciążliwsza i węższa (już nie szosa), z czego Bolek korzystał w ten sposób, że rower często przenosił na plecach.

Z dobrym humorem wjeżdżali do Komarowa. a że to była sobota, więc przywitały ich masy żydów, którzy zaczęli się śmiać z roweru Bolka, no i z niego. Wobec tego nasz bohater oznajmił wielkim głosem, że teraz takie rowery są modne. To oświadczenie zmieniło postać rzeczy. Patrzono na Bolka z podziwem i wnioskowano, że to musi być syn jakiegoś naczelnika, kiedy sobie mógł pozwolić na taki rower.

W Komarowie okazało się, że cztery rowery są niezdolne do ruszenia w drogę bez reparacji. Czterech więc pojechało dalej do kol. Grzesia, kandydata na posła. Pozostali po zreparowaniu „koni“ mieli też tam przyjechać.

Tu losy dzielnej „ósemki“ rozdzieliły się i nie wiem, którzy na tem lepiej wyszli. Pierwsza czwórka zajęła do wymarzonego Grzesia przed nocą—druga po północy. Przejścia ich, połączone z fantastycznymi przygodami opowiem w następnym zeszycie „Naszej Pracy“.

Jeden z „ósemki“

Żmija w klasie.

Chociaż już po dzwonku, w klasie jednak panuje... jakieś niezwykle ożywienie, objawiające się w „głośnych szeptach“ połączonych z ogólnym zaciekawieniem. Gromadka ciekawszych, nie zważając nawet na to, że za chwilę ma przyjść profesor, skupiła się naokoło ostatniej ławki, w której jakiś blondyn ukrywał to, co tak nadzwyczajną w każdym wzbudziło ciekawość. (Nawet wójt, zapomniawszy na chwilę o funkcji, jaką pełni Jego dostojna persona, naśladował gorliwie kolegów). Ów zaś z podniesioną dumnie głową ogarniał wzrokiem pełnym wyższości całą klasę i odpychał energicznie jedną ręką tłoczących się, drugą przetrzymywał ukryty w ławce jakiś przedmiot, a na wszelkie zapytania odpowiadał tylko zagadkowym kręceniem głowy.

Lecz wejście profesora z dwoma soczewkami w rękę położyło kres wszystkiemu. Każdy, lubo niechętnie, wrócił na swoje miejsce, ale że to ciekawość przeważała, więc wchodzący profesor, popatrzywszy na klasę, ujrzał tylko tyły 40 głów i drugie tyle uszu, zwróconych w stronę ostatniej ławki. Zanim miał się czas zorientować, co jest przyczyną tego wszystkiego, spostrzegł, że wszystkie głowy jakby na komendę zwracają się powoli ku środkowi klasy, której środkiem siedł ten z ostatniej ławki. Ukłoniwszy się, położył na stole jakiś pakuneczek.

Profesor począł go rozwijać, a dokonawszy tego, spojrzał do środka, a następnie skinął na klasę. Porwał się tedy, kto żył, na nogi—od małych „Matyldziów“ aż do poważnych „mężów stanu“ i otoczywszy katedrę, wpili zaciekawione oczy w pakuneczek. Profesor spojrzał znów na swoją gromadkę: Wpół otwarte usta, otworzone szeroko oczy świadczyły o ciekawości w całym tego słowa znaczeniu. Odsloniwszy więc zupełnie pakunek, ukazał wszystkim szkaradnego węża, mówiąc przytem głośno i dobitnie: „Żmija“.

To wystarczyło. Sam widok tak ogromnego gada i w dodatku tak głośno i dobitnie zaakcentowane słowo: „żmija“ po-działo tak, że słabe rączki „niewiastek“ z taką siłą odepchęły się od stołu, że posunął się aż do ściany, przygniatając stroska-

nego wychowawcę. Zrobił się krzyk, kotlowanina (wyjątkowo), a w dodatku tego martwe cielsko żmiji, zsunąwszy się ze stołu na ziemię, powiększyło grozę położenia.

Nagle wszystko uciekło. Co za powód?—zapyta każdy. Ach, nic dziwnego, to tylko czerwony notesik p. prof. (działający w takich wypadkach bardzo skutecznie) ukazał się na chwilę i zdziałał swoje.

Po burzy nastąpiła cisza, przzerwana na chwilę modlitwą, którą zapomniano w pierwszej chwili odmówić; martwe zwłoki „byłej tajemnicy” sprzątnięto.

Koledzy wybaczą, może położenie klasy wobec tak niebezpiecznej istoty, jaką jest martwa żmija, przedstawiłem straszniej, niż było w rzeczywistości, no ale trudno. Kucie o lustrach wypukłych i wklęsłych tak nam teraz czas wypełnia, że, jeśli w tym urywku jest trochę dodatków, dla usprawiedliwienia siebie powołuję się na lustra powiększające.

B. Atur V kl.

Nasza wycieczka.

Przez cały tydzień przed wycieczką panuje wielkie rozgoryczowanie w pierwszym zastępie. Każda z niecierpliwością oczekuje tej niedzieli — tej wycieczki.

Nareszcie nadeszła oczekiwana niedziela. Zaraz po szkolnem nabożeństwie zbiórka w gimnazjum, skąd mamy wyruszyć na wycieczkę. Tak wszystkie oczekiwały, a gdy nadszedł dzień wycieczki, to cztery tylko z nas poszły z kotłami, z plecakami i t. d.

Na miejsce przybyliśmy o godzinie trzynastej. Po krótkim odpoczynku wzięliśmy się do pracy. Wszystkie miały doskonałe humory, to też nie brakowało śmiechów i dowcipów. Jedna z druhen rozpoczęła pracę śpiewem — „basem“. To wprowało drużny w jeszcze lepszy humor.

Po kilku minutach pod „kuchnią“ buzował ogień. O godzinie piętnastej zawitały dwie starsze drużny, z czego ogromnie ucieszyliśmy się. W godzinę po przybyciu ostatnich druhen obiad był gotów. Zapomniałyśmy soli i dlatego zupka nie była wyborowa, ale zjadło się. Kompot był zamało ocukrzony, ale smakował wszystkim. Trochę się zjadło, a resztę wzięliśmy na drogę.

Drużna Helka śpiewała nam bardzo ładnie, a na to odzywa się Janka: „Ja tak próbuję wyciągnąć, jak Helka, ale jakoś

nie mogę. Jak to trzeba ciągnąć?" Na to cały obóz odpowiedział śmiechem serdecznym.

Okropnie było gorąco. Irka ucieszona, że ma sandały podarte, bo przynajmniej ma wentylatory.

Z wielkim żalem opuszczamy miejsce, gdzie tak wesoło spędziłyśmy czas. Przy wyjściu nie obyło się bez sporów o teczkę Helki. Dostała ją Lilka i z wielką pompą—jako minister—wyrusza. Podczas marszu do domu było bardzo wesoło. Hanka i Irka nie mogą sobie darować tego kompotu, to też niewiele myśląc, siadają na szosie i zaczynają patyczkami wyławiać jabłka z kompotu.

Helka śpiewała solo ładnym sopranem, Lilka znów „basem". Następnie był chór przy akompaniamencie Lilki pokrywką o kociół. Z góry biegłyśmy na „hurra". Bardzo żałowałyśmy, że wreszcie skończyła się tak wesoła droga.

Marcerka

Wiadomości bieżące.

Od Administracji.

Prosimy uprzejmie wszystkie Redakcje czasopism szkolnych w całej Polsce o przysyłanie nam swoich numerów zamiennych. Sądząc, że Redakcje, rozumiejąc wartość wymiany myśli, przychylią się do naszej prośby, z góry składamy im za uprzejmość serdeczne podziękowanie.

Dnia 18-go września odbyło się zebranie **Kółka Polonistycznego** kl. V i VI. Na zebraniu wybrano nowy zarząd.

W skład zarządu wchodzi: Przewodniczący — kol. Kielarska Balbina; zastęp. przewodniczącego — kol. Młodzianowska Helena; sekretarz — kol. Gozdek Wielisław; zastęp. sekretarza — kol. Jarmuszyńska Matylda.

Gmina im. Jana Kilińskiego. Dnia 2 go września odbyło się zebranie gminy kl. V im. Jana Kilińskiego. Na zebraniu wybrano zarząd: Wójt — kol. Borucki Zygmunt; podwójci — kol. Greszta Michał; sekretarz — kol. Wilczyńska Natalja; skarbnik — kol. Młodzianowska Helena.

Następnie członkowie gminy zorganizowali komitet udzielania pomocy naukowej uczniom i uczennicom piątej klasy.

Kółko Krajoznawcze kl. VII urządziło dwudniową wycieczkę w celu poznania naszego powiatu. Zwiedzono: Woźuczyn, Łaszczów, Komarów oraz wioski, które leżały po drodze.

Kółko Historycznego kl. VIII odbyło się posiedzenie dnia 20 września b. r. Referat p. t. „Stosunek polityczny Polski do Cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego“ wygłosili kol. kol. Stanisław Floryan i Kłós Franciszek.

Kółko Filozoficzne kl. VIII zostało założone w celu poznania szerszego zakresu propedeutyki filozofji. Przewodniczący kol. Tadeusz Witkowski, sekretarz kol. Jaczyńska Helena.

Kółko Matematyczne kl. VIII pracuje obecnie nad powtarzaniem materiału z klas poprzednich. Posiedzenia odbywają się nieregularnie kilka razy w tygodniu.

Hufiec Szkolny zarządził zbiórke dnia 27 września b. r., na której podzielono hufiec na 6 drużyn.

Drużynowym I drużyny jest kol. Krotki Julian,

„	II	„	„	Paszkiewicz Stanisław,
„	III	„	„	Bronikowski Jan,
„	IV	„	„	Malicki Piotr,
„	V	„	„	Szczekocki Henryk,
„	VI	„	„	Dziura Aleksander.

Kółko Polonistyczne kl. VIII powtarza obecnie początki literatury polskiej.

Kółko Stolarskie pracuje nad wykonaniem pulpitów i wieszadeł. Przewodniczącym jest kol. Tyski Roman.

Msza Św. w kaplicy uczniowskiej jest odprawiana we wtorki i piątki przez Wielebnego Ks. Prefekta, Ks. Henryka Cybulskiego.

Ku uczczeniu imienin P. prof. Druszkiewicza. Dzień 29-go września obchodziła klasa ósma bardzo uroczyście. W tym bowiem dniu opiekun tej klasy, p. Prof. Michał Druszkiewicz, święcił dzień swego Św. Patrona. Ku uczczeniu Jego imienin ośmoklasiści urządzili wspólną fotografię (kółko fotograficzne), a następnie o godz. 16 (4 pp.) wieczór wokalnie-muzyczny. Na program wieczoru złożyły się: chór, skrzypce z akomp. pianina i deklamacje. Chór śpiewał, jak zwykle, doskonale. Skrzypek kol. Jaczyński i pianistka kol. Kobylańska zyskali burzę oklasków, jak również i deklamator kol. Bronikowski. Na zakończenie solenizant przemówił serdecznie do młodzieży.

Efbm.

Wesoły kącik.

Kandydat do klasy siódmej napisał na egzaminie wstępnym wypracowanie, które podajemy poniżej bez zmian; zostawiamy nawet dość oryginalną interpunkcję:

Idea przewodnia w „Dziadach“.

Główną przyczyną napisania „Dziadów“ przez Adama Mickiewicza był; rozpacz poety po utraconej Maryli, którą szczerze kochał, a ta dała mu na pamiątkę tylko listek cyprysu i zawiązkę z włosów białych. Kiedy dowiedział się poeta o jej zamaż wyjściu, wówczas padał w rozpacz i nie wiedział co ma czynić z sobą widzimy w IV cz. Dziadów, poeta jest jakgdyby obłąkany Największym wrogiem jego był Gustaw, który odebrał mu najukochańszą Marylę. Drugim powodem napisania Dziadów, była, miłość ojczyzny i tułactwo poety po Rosji i w krajach zachodnich. Sam poeta mówił że jest zmarły dla świata, ponieważ nie widział żadnej radości na ziemi, a cierpiał wiele, bo jego gorące serce chętnie przyjmowało wszystko, czegokolwiek się dotknął.

Mówił sam że za miliony cierpi, przeto i miliony jest wart. Poznał wiele krajów osobiście widział kłamstwo i fałsz niezgodę i anarchję widział ojczyznę pod jarzmem wrogów, wiedział że z kolegami najukochańszymi rozerwany i wiele innych dotkliwych powodów i przyczyn to też nie widział żadnej iskierki radości. Te przyczyny dały powód do napisania Dziadów. Jest ten utwór pełen obolewań i cierpień Mickiewicza pod wpływem nieszczęść spadających z góry na jego osobę które przyjmował bardzo chętnie.

Oczywiście kandydat ów egzaminu nie zdał. Czy jednak powinni wogóle zgłaszać się do egzaminów tak przygotowani kandydaci?

Adres redakcji i administracji: „Nasza Praca“ Państw. Gimnazjum Koedukacyjne Tomaszów Lubelski.

Wydawca i Redaktor odpow.: Prof. Hanna Boska.

Redaktor: Władysław Fedorowicz, ucz. VIII kl.

Przewodniczący Komitetu Administr.: Stanisław Floryan, ucz. VIII kl.

Młocznia S. Szyflingiera w Tomaszowie Lub. dom Starostwa.

TREŚĆ N-ru 3 (63): 1) Bratnia Pomoc—St. Floryan. 2) Wakacje szkolne, jako czynnik dodatni w rozwoju ucznia: I)—T. Witkowski. II)—Stanisław Paszkiewicz. 3) Z Szwajcarii Kaszubskiej—Jotzet. 4) O stosunku koleżeńskim—Stanisław Paszkiewicz. 5) Ósemka—Jeden z „ósemki“. 6) Żmija w klasie—B. Atur, ucz. V kl. 7) Nasza wycieczka—Harcerka. 8) Wiadomości bieżące. 9) Wesoły kącik.